

# Przemysław Owczarek

---

## Mąka w kościele, grzyby w powietrzu i ciuchy z drugiej ręki : (na granicy reportażu i eseju fotograficznego)

---

Barbarzyńca : pismo Koła Naukowego Etnologów UJ 11(1), 30-44

---

2008

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach  
dozwolonego użytku.

Przemysław  
Owczarek

Ur. w 1975 r., antropolog kultury, doktor nauk humanistycznych. Odpowiada za Dział Kultur Miejskich w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym w Łodzi. Jest wykładowcą. Autor książki o kulcie Jana Pawła II na Podhalu *Karol Wojtyła – Jan Paweł II. Podhalańska opowieść o świętym*. Artykuły naukowe i krytyczne publikował w „Tygłku Kultury”, „Literaturze Ludowej”, „Zeszytach Wiejskich”, „Magazynie Sztuki”, „Formacie” i wydawnictwach pokonferencyjnych. Autor nagradzanych utworów poetyckich (m.in. nagroda im. J. Bieriezina w 2006 r.). Interesuje się sztuką współczesną.

# Mąka w kościele, grzyby w powietrzu i ciuchy z drugiej ręki

(Na granicy reportażu i eseju fotograficznego)

Cóż na tym świecie, jakąż powieść mogłaby dorównać epickiej rozległości albumu z fotografiami? Oby Pan Bóg, który niczym pilny amator, który co niedziela fotografuje nas z góry, a więc w okropnym skrócie, i lepiej czy gorzej eksponowanych wkleja do swojego albumu, oby więc Pan Bóg zechciał poprowadzić mnie pewną ręką – udaremniając wszelką nader rozkoszną, lecz niestosownie długą zwłokę – przez ten album nie podsycając zamięłowania [...] do labiryntowych wędrowek. I miałbym ogromną ochotę uzupełnić te fotografie oryginałami<sup>1</sup>.

(G. Grass, *Błaszany bębenek*)

Prawdopodobnie ze wszystkich naszych uczuć jedynym nie naszym jest nadzieja. Nadzieja należy do życia, nadzieja to samo życie, które się broni<sup>2</sup>.

(J. Cortázar, *Gra w klasy*)

<sup>1</sup> G. Grass, *Błaszany bębenek*, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1991, s. 39.

<sup>2</sup> J. Cortázar, *Gra w klasy*, Wydawnictwo Literackie, Kraków–Wrocław 1985, s. 154.

Ostatnie pięć dni sierpnia 2001 roku<sup>3</sup> spędziłem jako wolontariusz we wsi Orliśka (kilka kilometrów od Sandomierza). Pomagałem wtedy w porządkowaniu i wydawaniu darów dla powodzian. Parę tygodni wcześniej wzburzone wody Wisły zalały okoliczne wsie, między innymi Sokolniki i Zalesie. Woda wdarła się również do Orliśki. Sztab przeciwpowodziowy postanowił uratować Sandomierz i mieszczącą się tam hutę. Obawiano się katastrofy o wiele groźniejszej w skutkach – eksplozji hutniczego pieca. Ewakuowano ludzi i wysadzono wał (to wersja wydarzeń opowiedziana przez mieszkańców Orliśki). Niejednemu gospodarzowi powódź zniszczyła dorobek całego życia. Kiedy woda opadła, z kraju ruszyły transporty z darami.

W urzędzie gminy w Gorzycach wraz z czwórką przyjaciół otrzymałem przydział do obsługi magazynu darów we wsi Sokolniki. Dojechalśmy tam nyską dowożącą chleb i żywność dla wolontariuszy – w większości harcerzy ZHP. Chaos organizacyjny, jaki tam napotkałem, wesołe hulanki młodzieży po stertach darów, przeważnie używanej odzieży, oraz zabawne sytuacje, które kreowali „przebierańcy” – wszystko to sprawiało wrażenie, jakby zagościł tu karnawał. Szefowa wolontariuszy zaproponowała mi i moim znajomym pracę przy dystrybucji darów w Orliśkach. Polegać ona miała na gospodarowaniu przestrzenią kościoła, zamienioną na magazyn. Wraz z czwórką przyjaciół mieliśmy tam dotrzeć następnego dnia. Pierwszy wieczór i nocleg wyznaczono nam w Sokolnikach.

Rozejrzałem się po terenie. W przydomowych ogródkach stały jeszcze kałuże cuchnącej wody. Na wiejskim asfalcie buty ślizgały się na cienkiej warstwie grzyba i środków dezynfekcyjnych. Mocniejsze podmuchy wiatru przynosiły

z pól zapach szamba i zgnilizny. Domy, które oglądałem, nosiły ślady powodzi. Dopiero na wysokości mniej więcej dwóch metrów zaczynała się sucha cegła lub tynk.

Noc spędziliśmy, śpiąc w śpiworach na stopniach pobliskiej szkoły. Powietrze śmierdziało stęchlizną. Myliśmy się wodą mineralną z transportów, ponieważ bieżącej nie mogliśmy uzyskać. Przed chłodem nocy ratowała nas ciepła herbata. Wodę gotowaliśmy na małym turystycznym palniku. Rankiem u miejscowej gospodyni dostaliśmy śniadanie i skorzystaliśmy z naprawionego prysznicza. Wtedy po raz pierwszy zacząłem sporządzać opisy sytuacji i wydarzeń, które zastałem w podsandomierskich wsiach. Chciałem przede wszystkim pomagać ludziom. Ale z drugiej strony kusila mnie rola badacza. W konsekwencji przez cały czas pobytu na terenach popowodziowych towarzyszyło mi poczucie swoistego dysonansu między dwiema rolami, których się podjąłem. Miałem niejasne, a potem coraz bardziej wyraźne wątpliwości natury etycznej. Czy w takiej sytuacji wolno mi zadawać niektóre pytania? Czy nie drażniłbym ran, które jeszcze się nie zagoiły? Rola wolontariusza była na tyle wygodna, że ułatwiała obserwację i nie zdradzała ukrytych intencji. Zapamiętałem opowieść gospodyni, snutą przy śniadaniu, po cudownym prysznicu, który zmył ze mnie intensywny i drażniący zapach zgnilizny. Opowiadała, jak to „chłopy w Sokolnikach pobiły się o skarpetki, bo ludzie, gdy rozdawano dary, skakali sobie do oczu i z bardziej błahych powodów”. Podobne fenomeny domagały się zapisu.

Następnego dnia dotarliśmy do Orliśki. Wjeżdżając do wsi, zauważyłem stertę porzuconych kanap, łóżek, foteli i innych sprzętów domowych, które tworzyły rodzaj wału. Na łąkach po drugiej

<sup>3</sup> Niniejszy tekst powstał w 2004 roku, ma formę w znacznej mierze literacką. Klęska powodzi, zwłaszcza tej z 1997 roku, doczekała się już opracowań opartych na badaniach antropologicznych i obserwacjach. Zob. J. Hajduk-Nijakowska,

*Kulturowy kontekst osvajania przestrzeni zdegradowanej kataklizmem*, [w:] „Lud” 2004, t. LXXXVIII, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, s. 13–41.

stronie słońce odbijało się w popowodziowym bagnisku. Minęliśmy pierwsze chałupy i wjechaliśmy na obszerny plac. Przecinał go kanał, w którym stała zielonkawa woda. Obok piętrzyła się sterta cegieł. Jak się później dowiedziałem – budulec na przyszłą remizę Ochotniczej Straży Pożarnej, wielkie marzenie Prezesa strażaków (o tej postaci czytelnik niebawem dowie się więcej). Od placu drogi się rozwidlały. Pierwsza z prawej strony, przy której stały domostwa, prowadziła w stronę wałów przeciwpowodziowych, druga na lewo, w kierunku wsi, której nazwy już nie pamiętam. Przy niej znajdował się kościół.

Sceny z rzeczywistości domagały się udokumentowania. Nie miałem jednak aparatu fotograficznego, którym mógłbym zarejestrować, ująć w swoistym „niebycie” fotografii obraz najbardziej istotnych dla mnie zdarzeń. Brak naukowej czujności usprawiedliwiałem w myślach pierwotną intencją, z powodu której pojawiłem się w Orłiskach. Uparto narzucanie się antropologicznym słów kluczy porządkujących obrazy i zdarzenia wedle naukowych schematów było czymś nieznośnym, a zarazem pożądanym i oczekiwanym. Oczywiście gra między tkwiącymi w umyśle antropologicznymi kategoriami i zewnętrznym światem fundowała myślenie, które nie mieściło się w ramach odpowiedzialnej roli wolontariusza. Tym silniej odczuwałem irytację związaną z brakiem aparatu fotograficznego.

Sytuacja zmieniła się diametralnie, gdy jeden z wolontariuszy wyjął z plecaka starego zenita. Na kliszy było jeszcze parę wolnych klatek. Kierowca nyski dowożącej zupę zadeklarował, że kupi nam następną kliszę. Wtedy obiecałem sobie, że postaram się wszystko uwiecznić na zdjęciach, zawrzeć w notatkach, gdy tylko będzie czas. A czasu zabrakło – nie tyle z lenistwa czy nadmiaru pracy, lecz z powodu natłoku wrażeń.

W tym miejscu przerwę swą opowieść o Orłiskach. Sposób przybliżania tamtych doświadczeń poprzez fotografię wymaga uzasadnienia. Zanim jednak tego dokonam, warto podjąć próbę zrekonstruowania kontekstu, w jakim te antropologiczne doświadczenia zaistniały. Odpowiedzi wymaga następujące pytanie: czym jest powódź? Jakiego rodzaju jest to zdarzenie i jakie niesie ze sobą znaczenia? Postaram się je wyłowić, brodząc po pozostałościach żywiołu, który nagle zaatakował lokalną kulturę.

Sądzę, że klęska żywiołowa pod względem siły mobilizującej społeczność ludzką jest paroksyzmem podobnym do święta i wojny<sup>4</sup>. Powódź nie jest jednak eksplozją ludzkiej energii, która oznacza wtargnięcie *sacrum* w niezwykle krótkim czasie święta, ani zawierającym pokrewne znaczenia paroksyzmem wojny. Powódź to wybuch żywiołu, niemniej stanowi słup milowy ludzkiej pamięci. W opozycji do wojny i święta współcześnie atak natury nie powołuje zachowań rytualnych, nie domaga się mitycznej waloryzacji. To czysty atak żywiołu, który zaburza dychotomię *sacrum* – *profanum*, zawiesza pierwszą z tych kategorii i spycha poza horyzont zdarzeń. To *profanum* przemieszcza się w sferę *sacrum*. Jedynym nadmiarem – niejako kompensacją – staje się dzisiaj rozdawanie darów. O ile dawniej powódź mogłaby powołać wszelkie rytualne zachowania, które na nowo ustaliłyby porządek świata, granicę między *sacrum* i *profanum* – „potop jest bowiem powrotem do stanu nieodróżnicowania”<sup>5</sup> – o tyle obecnie mamy do czynienia raczej z *profanum* „rozbitym” przez chaos żywiołu.

W czasach archaicznych (jak powiedziałby M. Eliade) potop, epidemie, wszelkie klęski żywiołowe tłumaczono wyrokami bogów. Współcześnie, w odczarowanym świecie, szuka

<sup>4</sup> Zob. Caillois, *Żywioł i ład*, PIW, Warszawa 1973, s. 160 i 183.

<sup>5</sup> P. Ricoeur, *Symbol daje do myślenia*, [w:] M. Philibert,

*Paul Ricoeur, czyli wolność na miarę nadziei*, PAX, Warszawa 1976, s. 157.

się innych przyczyn nagłego kryzysu, jaki wywołuje atak natury. Wini się pogodę, zmieniający się przez zanieczyszczenia klimat lub urzędników i ludzi władzy (zwłaszcza gdy zaniedbane zostały wszelkie systemy zabezpieczeń). „Słynne trzęsienie ziemi z roku 1755 – zauważyła L. Dupré – które zniszczyło centrum Lizbony i wstrząsnęło niemal deistycznymi przekonaniem Woltera, dziś nie wywarłoby żadnego wrażenia. Nikt nie oczekuje, że wiara dostarczy rozwiązania takich problemów. Tymi rzeczami ma się zajmować nauka”<sup>6</sup>.

Ktoś zawsze poniesie odpowiedzialność za zlekceważenie żywiołu. Winę należy udowodnić, zwłaszcza jeśli ma spaść na głowę polityka. „Ścinają” ją częściej media niż gremia polityczne. W dzisiejszej Europie żadnemu człowiekowi, który ponosi odpowiedzialność za brak zabezpieczeń przed żywiołem, nie grożą mityczne sankcje. Nikt nie złamał tabu, świat nie chwia się w posadach, powódź nie objawiła głębokiego kryzysu kultury. Wszelkie *sacrum* raczej się „skurczyło”, tak jakby klęska żywiołu przestała być znakiem boskiego gniewu.

W Orłiskach powódź zaburzyła sakralną przestrzeń kościoła, czyniąc z niego obszar sprofanowany przedmiotami codziennego użytku. Również przestrzeń domostw, swojska i zamieszka, została zaburzona lub zupełnie zniszczona. Powrót do normalności to powrót przez odbudowę, uporządkowanie. Stąd biorą się zabiegi jak najszybszego wyremontowania domostw i oczyszczenia kościoła z darów (nie tylko z powodów czysto ekonomicznych). Te zabiegi, zwłaszcza jeśli chodzi o kościół, inicjował Prezes OSP w Orłiskach, człowiek, którego cechowała siła i mądrość nieformalnego lidera społeczności wioskowej i strażnika jej tożsamo-

ści. Warto przywołać w tym miejscu rozważania E. Wolickiej:

„Kiedy realna przestrzeń utożsamień ulega drastycznemu ograniczeniu lub zostaje zburzona, człowiek buduje sobie imaginatywne obszary swojskości. Radykalna bezdomność jest dla osoby ludzkiej głębokim okaleczeniem, a utrata domu – egzystencjalną katastrofą. »Człowiek jest, o ile mieszka« – powiada Martin Heidegger. Miejsce zamieszkania – w szerokim tego słowa znaczeniu, od własnego domostwa po środowisko naturalne – »opowiada« historię mieszkańca, stanowi ważny element jego tożsamości oraz związków z innymi”<sup>7</sup>.

Imaginatywnym obszarem swojskości stał się dla mieszkańców Orłisk plac przykościelny. Tutaj zachodziły szczególne interakcje. Tutaj społeczność wioskowa odnajdywała zbiorową tożsamość pomimo sporadycznych dysonansów i konfliktów, które odzwierciedlały ludzką niemoc wobec skutków powodzi. W przeciwieństwie do społeczności Sokolnik ludzie z Orłisk byli na tyle zdyscyplinowani, że chętnie udzielali pomocy wolontariuszom, między innymi w pracach porządkowych i dystrybucji darów. Choć – jak powiedział jeden z mieszkańców – „już nigdy nie będzie tak samo”. Wiele wioskowych przyjaźni legło w gruzach, po tym jak ogłoszono sposób udzielania rekompensat finansowych stosownie do rozmiarów szkód.

Fotografie wykonane przeze mnie w Orłiskach stanowią swoisty dokument zarysowanych powyżej wydarzeń. Służą jako medium i zarazem rodzaj dowodu, którego status wymaga krótkiego uzasadnienia.

W swojej książce *Fotografia jako zjawisko estetyczne* Jan Kurowicki zauważa, że z jednej

<sup>6</sup> L. Dupré, *Życie duchowe i przetrwanie chrześcijaństwa w świeckiej kulturze. Refleksje na koniec tysiąclecia*, [w:] *Człowiek wobec religii*, red. K. Mech, Nomos, Kraków 1999, s. 67.

<sup>7</sup> E. Wolicka, *Osobowa tożsamość i odrębność w perspektywie hermeneutyki dialogicznej*, [w:] *Tożsamość, odmiennność, tolerancja a kultura pokoju*, red. J. Kłoczowski i S. Łukasiewicz, IESW, Lublin 1998, s. 46.

strony fotografia dematerializuje obiekt, jaki się na niej znajduje – czyni go i jego kontekst czymś nieobecnym, a z drugiej strony sprawia, że obiekty znajdujące się na zdjęciu wydają się czymś rzeczywistym<sup>8</sup>. Aby je rozpoznać, interpretujący powinien wykazać się znajomością kontekstu, w jakim owe zdjęcia powstały. A to z kolei zakłada swoistą grę między zdjęciem a obrazami zachowanymi w pamięci lub możliwymi interpretacjami wtedy, gdy kontekst nie należy do pamięci oglądającego zdjęcia.

Fotografia zawsze jest nierozdzielnie związana ze swoim obiektem, odsyła nas do oryginału<sup>9</sup>. Możemy więc mówić tylko o określonych zdjęciach. Pierwsze spojrzenie na fotografię sprawia, że widzimy pewien wycinek rzeczywistości, bo sama fotografia pozostaje jakby niewidoczna. Dopiero akt refleksji umożliwia spojrzenie na fotografię jako na zdjęcie, medium, które nie jest odniesieniem rzeczywistym (referencją), lecz tym, co semiotyka nazywa znaczącym. Próba oddzielenia fotografii od jej odniesienia rzeczywistego powoduje jej „zniszczenie”<sup>10</sup>.

Fotografia-medium może zaistnieć w formie dokumentu. Ów swoisty dokument potraktować można jako punkt wyjścia do snucia opowieści, ukazywania znaczeń. W tym sensie zdjęcia mogą się stać momentem procesu poznawczego. Jednak we wszelkim poznaniu podstawową rolę odgrywa teoria. Dane doświadczenia, zmysłowe i dokumentarne, są względem fotografii niesamoistne. Perspektywę poznawczą buduje się niejako „od góry”, przyjmując za punkt wyjścia założenia orzekające o tym, jaka jest natura tego, co badamy, a także co w badanym wycinku świata jest istotne (hierarchia ważności). Groma-

dzenie danych zakłada, że wiemy, czego dotyczą. Jednocześnie nie traktujemy ich wszystkich tak samo<sup>11</sup>. Zdjęcie możemy więc uznać za swoisty „przystanek w rozkładzie jazdy”, za medium dokumentujące trasę perspektywy poznawczej. Zastępuje ono lub uzupełnia obraz wzrokowy, potwierdza lub podważa przyjęte założenia poznawczej perspektywy<sup>12</sup>.

O tym, że zdjęcie-dokument może być również przedmiotem manipulacji, świadczy nie tylko technika fotomontażu. Wystarczy wykonać fotografię osoby, która zmarła, i przedstawić jej ciało w taki sposób, aby oglądający mógł odnieść wrażenie, iż obcuje z obrazem żyjącego człowieka<sup>13</sup>. Pojawia się tutaj problem autorytetu twórcy zdjęć. Ów autorytet może się oprzeć tylko na akcie wiary, że rzeczywistość sfotografowana niesie ze sobą właśnie *takie*, a nie inne znaczenia. I że właśnie *tak było* – choć to *właśnie* może być tylko próbą interpretacji.

R. Barthes zauważa, że noemat fotografii to raczej proste i banalne *to-co-było*. Fenomenologicznie rzecz ujmując, obraz jest nicością przedmiotu. Fotografia ukazuje jednak nie tylko nieobecność przedmiotu, ale jednocześnie fakt, że ten przedmiot naprawdę istniał. Dla Barthes’a fotografia staje się dziwacznym medium, niejako formą halucynacji – fałszywą na poziomie postrzegania, prawdziwą na poziomie czasu<sup>14</sup>. Zatem *to było* odnosi się do porządku czasu, podczas gdy *tak było* odsyła do porządku znaczeń.

Barthes wyróżnia dwa sposoby oglądu zdjęć: *studium* i *punctum*. *Studium* należy do porządku kultury: „To za pośrednictwem *studium* interesuję się wieloma zdjęciami, bądź odbierając je jako świadectwa polityczne, bądź smakując

<sup>8</sup> J. Kurowicki, *Fotografia jako zjawisko estetyczne*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 1999, s. 37.

<sup>9</sup> M. Zalewski, *Formy pamięci*, IBL, Warszawa 1996, s. 42.

<sup>10</sup> S. Sikora, *Fotografia – pamięć – wyobraźnia*, PSL Konteksty, 1992, nr 3/42, s. 108.

<sup>11</sup> J. Kurowicki, *op.cit.*, s. 113–114.

<sup>12</sup> *Ibid.*, s. 114.

<sup>13</sup> *Ibid.*, s. 117.

<sup>14</sup> R. Barthes, *Światło obrazu. Uwagi o fotografii*, Wydawnictwo KR, Warszawa 1996, s. 194.

je jak dobre obrazy historyczne. Gdyż to właśnie poprzez kulturę (to znaczenie jest obecne w *studium*) uczestniczę w wyrazie twarzy, gestach, realiach działania<sup>15</sup>. *Punctum* zaś to element przełamujący *studium*, wybiegający ku oglądającemu, mieszczący się w porządku takich znaczeń, jak rana, kropka, użądlenie, małe przecięcie, ale również rzut kości. To nie my je znajdujemy, lecz ono nas znajduje, wystrzeliwuje ku nam, przeszywa świadomość, która tkwiła do tej pory w polu *studium*<sup>16</sup>. *Punctum* odnosi się do porządku przeżyć i emocji, jest spoza kultury – „ostatecznie *studium* zawsze przechodzi przez kod, *punctum* nie jest kodowane<sup>17</sup> – zauważa Barthes.

*Punctum* to kategoria, którą włada idiosynkrazja. Dogodniejszym sposobem opisu fotografii z Orłisk (*to było*) oraz wspomnień, które układają się niejako wokół nich, jest raczej *studium* umożliwiające zmianę porządku czasowego w porządek znaczeń (*tak było*), traktowane jako własna próba interpretacji. Ważną rolę odgrywa w niej perspektywa poznawcza ufundowana na konkretnych założeniach dotyczących nie tylko zabiegów interpretacyjnych wokół paroksyzmu, jakim jest powódź. Znane antropologii pojęcia i kategorie odgrywają przecież istotną rolę w podejmowanych ujęciach interpretowanego później materiału i powodują, że ruch obiektu podąża w określoną stronę – „wycina” z rzeczywistości konkretny obraz zdarzeń, ludzi i przedmiotów. Można powiedzieć, że jest to jakby pierwotna selekcja treści rzeczywistości. Wtórny selekcją owych treści byłaby próba odczytania danego zdjęcia, jego interpretacja. I tutaj właśnie pojawia się autorytet antropologa, któremu można zawierzyć bądź nie. Z którym można dyskutować, nie zgadzać się z nim, ale

przecież dążyć do zrozumienia jego intencji, za którą kryje się jawna pretensja, by traktować serio zaświadczone „ja”.

Najważniejsze pytanie, które mnie osobiście nurtowało, gdy pracowałem w kościele, spacerowałem po wsi lub obserwowałem mieszkańców, brzmiało: czy w zdesakralizowanej przestrzeni kościoła i wsi dostrzec można zjawiska, które w jakiś sposób mieszczą się w porządku *sacrum*?

## Kościół

Nie sądziłem, że kiedykolwiek w życiu będę pił kilka razy dziennie gorące kubki z Winiar, herbatę i kawę, siedząc przy ołtarzu, dwa metry od Najświętszego Sakramentu. Nie spodziewałem się również, że oprócz drobniaków dzwoniących na kościelnej tacy i ryżu rzucanego na ślubną parę u drzwi kościoła usłyszę kiedykolwiek syk rozsypującej się po podłodze kaszy. Pamiętam pierwsze wrażenie, jakiego doznałem, gdy zajrzałem do wnętrza kościoła w Orłiskach. Chaos. Pomyślałem wtedy, że podobnie mogły wyglądać cerkwie i kościoły zamienione przez czerwonoarmistów na magazyny. Dwa dni minęły, zanim ułożyliśmy towary według przeznaczenia i przestaliśmy się potykać o różne przedmioty, na przykład ciągle walający się za ołtarzem akordeon, ofiarowany przez kogoś współczującego powodzianom wiejskiego muzyka. Jedyna fotografia, jaką udało się wykonać w kościele (brak lampy), ukazuje przestrzeń pogrążoną w mroku, rozświetlaną nikłym blaskiem kościelnych okienek sączących światło za ołtarzem, przestrzeń wypełnioną ciemną masą żywności i przedmiotów codziennego użytku. Tonęliśmy w używanych rzeczach: ubraniach,

<sup>15</sup> *Ibid.*, s. 46.

<sup>16</sup> *Ibid.*, s. 47.

<sup>17</sup> *Ibid.*, s. 89.



FOT. 1. PRZEMYSŁAW OWCZAREK

pralkach, szafach. Wszędzie piętrzyły się sterty makaronów, toreb z cukrem, ryżem, kaszą i płatkami. Zamiast dyskretnego aromatu kadzidła otaczał nas zewsząd silny zapach środków czystości – proszków, mydeł, płynów do prania i mycia naczyń – który mieszał się z wonią (to najbardziej neutralne określenie) używanej odzieży (fot. 1).

Często zaglądał do kościoła Prezes, który był nie tylko strażakiem, ale też ważną osobą w radzie parafialnej. Uzgadnialiśmy z nim sposób i kolejność wydawania darów. Jego silne ręce wskazywały nam zadania i łatwo można było odgadnąć, że celem Prezesa jest jak najszybsze przywrócenie kościołowi jego pierwotnej funkcji. Szefowa wolontariuszy ceniła sobie tę współpracę. Reszta załogi też, bo Prezes urozmaicał pracę dowcipem, a wieczorem zdarzało mu się przynieść kilka piw. A piwo? Po przerzuceniu sterty ubrań i uporządkowaniu darów, po kolejnych transportach smakowało wyśmienicie i wypełniało gardła prawdziwą rozkoszą, przy której kompletnie nieistotna wydawała się obietnica rajy symbolizowana przez święte wizerunki

umieszczone w prezbiterium. Prezesa słuchaliśmy, wioskowi też. Sołtys, którego kowbojska grzywka zazwyczaj smętnie sterczała w stronę interesantów, miał zdecydowanie mniejszy posłuch. Trudno mu było się dogadać z ludźmi odbierającymi na placu przykościelnym ziemniaki i zboże. W przeciwieństwie do niego Prezes wkraczał między ludzi zdecydowanie i łatwo odczytywano jego intencje. Może pomagała mu

w tym opinia dzielnego strażaka i determinacja okazywana w ciągłych zabiegach, by zbudować w Orliskach remizę OSP.

W ciągu pięciu dni kościół prawie opustoszał, przestały go zagracać kolejne transporty. Posprzątaaliśmy ołtarz. Zdążyliśmy to zrobić, ale proboszcz i tak załamywał ręce. Moje wspomnienia ukazują przestrzeń kościoła w Orliskach jako kompletnie zdesakralizowaną. Wisząca na krzyżu figura Chrystusa przywodziła na myśl absurdałne skojarzenia, chociaż wiem, że absurd roztaczał się raczej wokół mnie, między stertą dziecięcych odżywek i worków mąki, które wobec *sacrum* wygnanego z kościoła mogły wydawać się bluźnierstwem. Bluźnierstwem? A może jedyną „ofiarą”, jaką mogło z siebie złożyć *sacrum* w miejscu pozbawionym aury i symbolicznej mocy.

Swoisty stan zawieszenia powoli mijał. Czułem, że pewnego dnia wszystko wróci do normy i magazyn znów przemieni się w kościół i że trochę nieśmiało „alleluja” odda to miejsce Bogu, ustanowi na nowo wspólną modlitwą zachwiany przez żywioł porządek.



## Na granicy wsi

Pierwsze wspomnienie-obraz z Orłisk. Sterty łóżek, szaf, foteli i krzeseł – wał przy drodze wjazdowej do wsi. Przedmioty, które umarły, wchłonawszy w siebie zgniliznę i grzyby. Straciły swoją poręczność. Zaskakująca ilustracja granicy między *orbis interior* i *orbis exterior*. Antropologiczny zachwyty zmieszał się we mnie ze współczuciem. Coś żyło jeszcze w tych rzeczach. Ulatujące wspomnienie ciepła ludzkich ciał, domowej, swojskiej przestrzeni. A przecież mocniej tchnęło od tych gratów śmiercią, utratą użytkowej funkcji. Czekają na wywóz w niebyt, na którego granicy już się znalazły. Gdy dostałem aparat, natychmiast do nich przybiegłem. Zachwytył mnie fotel obsypany stęchlą słomą i zdechła kanapa, leżąca tuż za nim. Bez nich dom tracił swą moc, także dotykał granicy niebytu. Całe Orłiska walczyły o to, by tę granicę odsunąć jak najdalej (fot. 2).

## Między kompensacją a rytuałem

Wydawanie żywności i środków higienicznych było zadaniem, z którym wolontariusze radzili sobie bez większych problemów. Przy bocznym okienku kościoła codziennie około południa ustawiała się kolejka kobiet z dziećmi. Do worków, które ze sobą przynosiły, wkładaliśmy proszki, mydła, szampony, pasty do zębów, szczoteczki i inne rzeczy.

Po południu pod przykościelnym krzyżem wyrastała sterta używanych ubrań i czasem nowych ciuchów. Jak tylko owa sterta zaczynała rosnąć, rosła też grupka kobiet siedzących na pobliskiej ławce i wypatrujących łakomie wszystkiego, co w przybliżeniu mogło odpowiadać rozmiarom ich ciał. Co dwa dni wydawaliśmy ciuszki dzieciom. To była przyjemna praca. Natomiast niezwykle trudno było upilnować ludzi, by nie wdarli się na stertę ubrań przed wyznaczonym czasem. Codziennie miała być to godzina

FOT. 2. PRZEMYSŁAW OWCZAREK



FOT. 3. PRZEMYSŁAW OWCZAREK



siedemnasta. Ale nigdy nie zdarzyło się tak, aby rozgadany tłumek kobiet wytrzymał do wyznaczonej pory. Któraś z nich – starsza czy młodsza – zawsze się wyrwała. Pozostałe ruszały, pomimo krzyków wolontariuszy, i rozpoczął się dynamiczny spektakl, którego nie jest w stanie ukazać żadne zdjęcie (fot. 3).

Najpierw miałem opory, czy to fotografować, czy wioskowe kobiety nie pocują się urażone. Potem zauważyłem, że nie ma to dla nich żadnego znaczenia. Były całkowicie pochłonięte grzebaniem w ciuchach. W końcu wdrapałem się na słupkę przy kościelnej furtce i zrobiłem pierwsze zdjęcie. Zauważył to Prezes i powiedział: „Tak, rób zdjęcia, fotografuj ludzką głupotę”. Był w nim jakiś rodzaj pogardy wycierającej poprzez ludzką godność. Zresztą, jak niemal wszyscy mężczyźni we wsi (choć zdarzały się wyjątki), trzymał się od tego z daleka. Mężczyźni podchodzili tylko do kościelnego ogrodzenia, w obrębie którego odbywało się wielkie grzeba-

nie w ciuchach, i odbierali z rąk kobiet wybrane przez nie rzeczy. Może na wzięcie w tym udziału nie pozwalała im wioskowa duma, a może nie była to sfera męskiej aktywności (fot. 4).

Z dnia na dzień owo grzebanie przybierało na sile. Pamiętam, jak chodząca o kulach babcia znalazła w tym bałaganie zapakowaną, nową kurtkę. Zawiesiła ją sobie na przykościelnym płotku. Chwilę później kurtki już nie było. Z trudem znosiłem jej rozpacz. Chciała przecież ciepłe zimowe okrycie, a ktoś je ukradł. Był to jedyny moment, gdy gwałtowne emocje odebrały mi chęć do pracy.

Grzebanie zamieniło się w codzienny rytuał, babskie święto przypominające bardziej zabawę, w której coraz częściej zaczynały brać udział dzieci. Nadmiar ubrań był najpierw swego rodzaju kompensacją, przesytem, wypełniającym pustkę po tym, co porwała woda. Później wdzierającą się znikąd zabawą, która stała się jednym z zauważalnych znaków powrotu do normalności,



FOT. 4. PRZEMYSŁAW OWCZAREK

stanu poczucia bezpieczeństwa. Po kilku dniach ubrania, przebrane powtórnie w domach, wracały pod drzwi kościoła. Lud się nasycił. Inaczej było z żywnością. Tu decydowała praktyka. Nadmiar kaszy i ziemniaków zjedzą kury i świnie.

Owo babskie święto, zadziwiające codzienną powtarzalnością, miało swój istotny związek z oswojeniem rzeczywistości po powodzi. Jego rytm zaspokajał podstawową potrzebę zamieszkiwania w świecie. Trwania pomimo niedawnej jeszcze groźby utraty domu i dobytku. „Trwanie jest od początku i z istoty swej rytmem”<sup>18</sup>. Urządzać się w świecie (w tym wypadku czynić to niemalże od początku) to ustanawiać sieć schematów działania, nawyków i umiejętności mających ułatwić działanie w powtarzalnych strukturach. Dzięki temu rzeczy nabierają swojego charakteru<sup>19</sup>.

<sup>18</sup> F. Chirpaz, *Ciało*, Wydawnictwo IFiS Pan, Warszawa 1998, s. 38.

Kobiety z Orlik wracały do swych zawilgocionych i pozbawionych sprzętów domostw, dźwigając worki ubrań. Wracały zadowolone. Jak zauważa F. Chirpaz: „[...] doświadczenie dobrego samopoczucia jest doświadczeniem rzeczy”<sup>20</sup>. Rzeczy pomyślanych jako przedmioty wraz z ich życiem w przestrzeni, w której porusza się człowiek. Przymierzanie ubrań, dotykanie ich może rodzić przyjemność kompensującą brak trwałości porządku. Bo przecież świat tych ludzi parę tygodni wcześniej chwiał się w posiadach.

W Heideggerowskiej fenomenologii ludzkiego domostwa rzeczy stanowią sposób zachowywania czworokąta – przestrzeni, którą zamieszkuje człowiek:

„Zamieszkiwanie, jako czworokacie zachowanie czworokąta, dokonuje się właśnie w ratowaniu Ziemi, w zgodzie na niebo, w oczekiwaniu Istot

<sup>19</sup> *Ibid.*, s. 44.

<sup>20</sup> *Ibid.*, s. 35.

Boskich, w posłuszeństwie Istocie Śmiertelnych. Zachowywać znaczy chronić czworokąt w jego istocie. To, co wzięte w ochronę, musi być ukryte. Zamieszkiwanie, tzn. zachowywanie czworokąta – chroniąc jego istotę – przechowuje ją tedy. Gdzie? Jak mieszkają Śmiertelni, skoro zamieszkiwanie jest owym zachowywaniem? Śmiertelni nigdy nie zdołaliby tak mieszkać, gdyby zamieszkiwanie było tylko pobytom na Ziemi, pod Niebem, w Obliczu Istot Boskich, wspólnie ze Śmiertelnymi. Ale nie jest tym tylko – jest raczej zawsze już pobytom przy rzeczach, przy których przebywają Śmiertelni, zamieszkiwanie jako przechowywanie przechowuje czworokąt<sup>21</sup>.

Od gromadzenia rzeczy zaczęła się w Orliśkach mozolna odbudowa czworokąta, w którym egzystują ludzkie jestestwa. Ów ruch prowadził ku Ziemi, Niebu, Istotom Boskim i Śmiertelnym. Rzecz – ubranie czy inny przedmiot – może stać się jednym z fundamentów ludzkiego trwania, znakiem nadziei, że życie ponownie może biec normalnym torem.

Warto w tym miejscu przytoczyć obszerny, ale niewątpliwie trafiający w istotę rzeczy fragment powieści Ernesta Sábato. Jeden z bohaterów – Bruno – wypowiada długą kwestię o bezsilności rozumu wobec odradzającej się wciąż w ludziach nadziei.

„Ot, zaledwie ustało trzęsienie ziemi, które spustoszyło rozległe obszary Japonii lub Chile, zaledwie cofnęła się powódź, która pochłonęła tysiące dzieci znad Żółtej Rzeki, zaledwie minęła krwawa i dla większości ofiar pozbawiona sensu wojna, jak na przykład wojna trzydziestoletnia, która obróciła w przynę miasta i osiedla, przyniosła męki i zagładę kobietom i dzieciom, a już ci, co pozostali przy życiu, bezsilni świadkowie straszliwego wyroku losu lub człowieka, ci sami, co w chwilach rozpaczny sądzą, że nigdy już nie

nabiorą ochoty do życia, że nie zdołają go odbudować, chociażby nawet nie chcieli, ci sami mężczyźni i te same kobiety (kobiety zwłaszcza, kobieta bowiem jest życiem, jest matką-ziemią, jest tą, która nigdy nie traci nadziei), te same kruche istoty zaczynają od nowa, jak nierozumne a bohaterskie mrówki, wznosić swój mały świat dni powszednich: świat niewielki, to prawda, lecz tym bardziej wzruszający. Toteż nie myśl ocala świat, nie intelekt ani rozum, lecz coś wręcz przeciwnego: owa nierozumna nadzieja człowieka, jego wytrwała chęć pozostania przy życiu, żądza oddychania, jak długo to możliwe, jego małe, uparte i śmieszne bohaterstwo codzienne w obliczu niedoli. Jeżeli więc rozpacz odpowiada Nicości, jeśli jest ona pewnego rodzaju dowodem ontologicznym Nicości, to czyż nadzieja nie jest dowodem Ukrytego Sensu Istnienia, czegoś, o co warto walczyć? A ponieważ nadzieja potężniejsza jest niż rozpacz (jako że zawsze odnosi nad nią tryumf; gdyby tak nie było, wszyscy popełnilibyśmy samobójstwo), czyż ów Ukryty Sens Istnienia nie jest może bardziej prawdziwy niż owo słynne nic?”<sup>22</sup>.

Śmierć i bezsens są oznaką wdzierającej się nicości. Było w podsandomierskich wsiach kilku potencjalnych samobójców (jak wynika z opowieści szefowej wolontariuszy). Chęć przejścia na tamtą stronę mijała jednak wówczas, gdy zdesperowani ludzie chwyтали za kilofy i łopaty. Trzymane w dłoni narzędzie stawało się znakiem woli przetrwania, odwracało od śmierci ku życiu. Rytm pracy jest przecież jednocześnie rytmem życia.

## Ludzie

W przykościelnej przestrzeni można było zauważyć, że społeczność Orliśk dzieli się na

<sup>21</sup> M. Heidegger, *Budować, mieszkać, myśleć. Eseje wybrane*, Czytelnik, Warszawa 1977, s. 323.

<sup>22</sup> E. Sábato, *O bohaterach i grobach*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1977, s. 181–182.

łatwe do wyodrębnienia grupy. Kryterium tego podziału stanowiły wiek i płeć. Kobiety trzymały się w grupach wiekowych, mężatki razem, starsze kobiety razem. Młode mężatki i dojrzałe dziewczęta również tworzyły przy kościele łatwo dającą się wyodrębnić w przestrzeni grupkę. Dla nich wolontariusze płci męskiej stanowili stały obiekt zainteresowania. O ile w przypadku niezamężnych dziewcząt było to dla mnie całkiem zrozumiałe, o tyle w przypadku młodych mężatek budziło rodzaj miłej konsternacji.

Pewnego dnia wraz ze współtowarzyszem mojej wolontariackiej doli zostaliśmy zaproszeni przez młode mężatki na piwo. Rzecz wyjaśniła się w rozmowie, w której partnerami dialogu kierowały zapewne różne, może całkiem rozbieżne intencje. Gdzie byli mężowie? Pracowali w Grecji. Nie chodzi tutaj bynajmniej o to, że skryty antropolog mógł stać się obiektem adoracji, lecz o fakt, że samotność opuszczonej kobiety była na tyle przytłaczająca, iż właśnie obcy<sup>23</sup> mógł łatwiej znieść jej ciężar, bez ponoszenia konsekwencji ze strony mieszkańców wsi. Mój towarzysz, przytłoczony atmosferą osamotnienia, zrezygnował z następnych zaproszeń.

Ciekawość mogła zwodzić na manowce, ale mogła też przynieść zrozumienie. Wydaje mi się, że zrozumiałem, ile wysiłku przynosi wal-

ka za pomocą kilofa, toczona z zagrzybionym tynkiem i zniszczoną podłogą, zwłaszcza gdy narzędzie nie spoczywa w dłoniach mężczyzny. Ze samotność gna Bożenę na leśne drogi, na których swoją czerwoną toyotą zakreśla półkoliste smugi wirazy. Ze tęsknota za bezpieczną bliskością

przez Polski Instytut Służby Społecznej w Łodzi w 1948 roku.

<sup>23</sup> Podobne opisy doświadczeń odnaleźć można w pracy K. Zawistowicz-Adamskiej *Społeczność wiejska. Doświadczenia i rozważania z badań terenowych w Zaborowie* wydanej



FOT. 5. PRZEMYSŁAW OWCZAREK



FOT. 6. PRZEMYSŁAW OWCZAREK

ukochanego mężczyzny, pełna rezygnacji i negatywnych emocji, może się wyrażać w drgającej wskazówce prędkościomierza.

Nie mam żadnej fotografii Bożeny, bo instynktownie czułem, że trzask migawki zepsułby atmosferę intymności, w której wyłaniały się jej pełne bólu opowieści o losie osamotnionej kobiety i matki.

Mężczyźni. Zdarzyło mi się spotkać z przedstawicielami trzech pokoleń na wspólnym piwie. Chłopi z Orłisk opowiadali o służbie wojskowej.

Najstarszy, pięćdziesięciolatek, był czołgista. Kiedyś to było wojsko. Jadąc w czołgu przez miasto, oparł się o dźwignię obrotu wieżyczki. Lufa T-55 kompletnie zniszczyła kiosk Ruchu. Trzydziestolatek pijany wrócił do jednostki. Dyżurny złapał go w jadalni z beretem założonym tył na przód. Dwudziestolatek siedział cicho. Może dlatego, że jego opowieści były zbyt świeże.

Nigdy nie spotkałem ich przy kościele. Jeśli jakiś mężczyzna wchodził do środka, to był to Prezes lub sołtys. Czasami przychodził wiejski pijaczyna, dla którego było obojętne, czy znajduje się za płotem kościoła, czy wewnątrz niego.

Szczególnie interesujące było dla mnie obserwowanie dzieci. Może dlatego, że zachwycała mnie ich prostota. Słowo, które kojarzy się z dziećmi, to zabawa. Spontaniczna i całkiem pochłaniająca zabawa z rzeczywistością. Miała ona miejsce, kiedy używane ubrania stawały się powodem wesołych igraszek. I wtedy, gdy rozbawione oczy tańczyły w kręgu „graniastego kółka”. Była w tych

oczach szczerą naiwność, która niejednokrotnie zmuszała wolontariuszy do bardziej efektywnych poszukiwań cukierków i chrupek (fot. 5, 6).

### Tragiczne oblicze wioskowego błazna

W Orłiskach osobą, którą postrzegałem jako wioskowy autorytet, był Prezes. Społeczność Orłisk miała także swojego błazna. Nie był to mężczyzna. Nie pamiętam jej imienia. Nie pamiętam jej nazwiska. Pamiętam, że każde jej pojawienie

się mogło przynieść kłopoty lub kompletnie rozładować atmosferę.

Była to osoba, która czuła się najbardziej pokrzywdzona i zmalretowana przez żywioł powodzi. I tę „krzywdę” niejednokrotnie widziałem, gdy kobieta kładła się na workach ziemniaków, które należały się innej rodzinie. Czasami opowiadała, że straciła niemal wszystko, choć miała jeszcze dużo. W tej steatralizowanej formie zachowań tkwił swego rodzaju wzorzec wspólnej niedoli, który z powodu nieszczęść, jakie przeżyła, może właśnie jej łatwiej było wyrazić.

Straciła syna, który kilka lat wcześniej, wracając z wiejskiej potańcówki, wjechał maluchem w koryto rzeki. Nie uratował się ani on, ani dwóch jego kolegów. Dla wsi był to straszliwy cios. Bo w Orłiskach niemal każdy z każdym jest spokrewniony. Bożena straciła w tym wypadku brata, a jej ciotka poczucie rzeczywistości. Odtąd ciotce zdarzało się nader często mówić do ludzi słowami, które układały się w wartki potok trud-

no zrozumiałej mowy. Słowo goniło za słowem. Z trudem łączyłem je w zdania – mieszkańcom przychodziło to z łatwością.

Po Orłiskach krążyły barwne opowieści. Ich kanwą były przeróżne perypetie, jakich doświadczała ta starsza już kobieta. Kiedyś przegnała urzędnika, który przyszedł po zapłatę za abonament telewizyjny. Zadarła na niego spódnicę, krzycząc, że chce ją zgwałcić. Po urzędniku pozostała teczka, świadcząca o nader gwałtownej ucieczce. Innym razem z podwórka przy zagrodzie zerwał się byk, który nadziawszy na rogi suszące się na sznurku pieluchy wnuczki, pognął przez wieś, stając się chwilową, ale niezapomnianą sensacją.

Jej opowieści porywały słuchaczy jak wartki potok. Wywoływały śmiech i uspokajały emocje zgromadzonych. Jej ciało współgrało z opowieścią, tworząc rodzaj pełnego dowcipu przedstawienia. Ale wszyscy obawialiśmy się żalostnego końca owych eksplozji, w którym przeradzały się one w roszczeniowe postulaty. Powodzian



FOT. 7. PRZEMYSŁAW OWCZAREK

miał niebawem odwiedzić naczelny prezes OSP i były premier Waldemar Pawlak. Mieliśmy próbkę podobnych emocji, zacieklego upominania się o swoje, gdy wieś wizytował proboszcz zaprzyjaźnionej parafii z Wielkopolski. Nasza bohaterka opętała go siecią prawdziwych i urojonych krzywd. Ksiądz nie tylko załamał ręce nad kościołem i jego „zdevastowaną” przestrzenią. Załamał ręce również nad naszą bohaterką, pragnąc bardziej się od niej uwolnić, niż ją wysłuchać. Jej cierpienie było dla niego przykładem popowodziowej traumy, nie zaś przypadkiem szczególnym. Na szczęście Waldemar Pawlak nie dotarł.

Barwna postać tej kobiety budziła i budzi we mnie wielką sympatię. Pamiętam, jak pozowała do zdjęcia. Jej twarz, jeszcze przed chwilą wykrzywiona awanturą z Prezesem, nagle złagodniała. Czy to przez ową przemianę wyszła nieostra fotografia, której jakość nie pozwała na zamieszczenie pod niniejszym tekstem? Na innym zdjęciu moja bohaterka znalazła się w grupie kobiet siedzących na schodach kościoła. Zastygła w pozie ze splecionymi ramionami, obok pustego wózka. W jej towarzystwie dziecięcy wózek wydaje się przedmiotem, któremu można nadać więcej niż jedno zwykłe, proste znaczenie (fot. 7). Pamiętam, jak całowała mnie w łokieć, kiedy niosąc zgrzewkę wody mineralnej, usiłowałem uciec przed jej wylewnością. Dziękowała za stare kapcie, które odłożyłem dla niej ze sterty ciuchów.

## Zakończenie

Wykonane przeze mnie fotografie, których jakość pozostawia wiele do życzenia, są tutaj swoistym punktem wyjścia, mającym źródło i uzasadnienie w postulowanym antropologicz-

nym nastrojeniu na rzeczywistość. Współtworzą narrację zakotwiczoną w poznawczej perspektywie. Wsparte komentarzem i osobistym doświadczeniem, mogą w istotny sposób wesprzeć wysiłek zrozumienia fenomenu Orłisk – fenomenu wciąż otwartego na nowe pytania.

Jedno z tych pytań wciąż dopomina się odpowiedzi. W co wcieliło się przegnane z kościoła w Orłiskach *sacrum*? Czy wsiąkło w rzeczy i produkty, które w tak istotny sposób miały ułatwić ponowne zamieszkiwanie, czy może tkwiło w powietrzu, w emocjach popowodziowej traumy, podobne do rany – niczym *punctum*?

Z Orłisk wyjeżdżałem w niedzielę. Rozważałem w myślach słynną frazę z *Listu jasnowidza* Artura Rimbaud – *Ja to ktoś inny*<sup>24</sup>. Moją świadomość wypełniły nowe doświadczenia, towarzyszył im namysł nad własną osobą. Wolontariusze, którzy pozostali na swoich posterunkach, poszli pod kościół. Obładowany plecakiem też ruszyłem w tym kierunku. Proboszcz odprawiał właśnie mszę. Wioskowi z Orłisk modlili się wspólnie na przykościelnym placu. Powracające *sacrum* ominęło wnętrze kościoła. Objawiło się we wspólnej modlitwie, obok murów, w miejscu, gdzie jeszcze wczoraj piętrzyła się sterta odzieży. Skręciłem w boczną uliczkę, sto metrów od kościoła. Marzyła mi się wanna i znajoma przestrzeń domu. Wyjeżdżałem z przeświadczeniem, że wszystko zostanie umiejscowione w uniwersalnym porządku. Że kościół w końcu stanie się kościołem, a wieś wsią. I nie myślałem o tym, czy jest to powrót do rzeczywistości i jej jasnych podziałów, czy to raczej antropologiczna iluzja. Pozostaje zaś nadzieja, że w tej wędrówce przez fotograficzny album, podobnie jak bohater *Błaszanego bębenka*, choć przez moment dotknąłem oryginału.

<sup>24</sup> Zob. A. Rimbaud, *List jasnowidza*, [w:] *Rimbaud, Apollinaire i inni. Wybór przekładów*, red. A. Międzyrzecki, Czytelnik, Warszawa 1988, s. 73.